

# Baryton szatana i głos reżysera

**EIMUNTAS NEKROSIUS** | Litewski twórca mówi o swojej wizji i interpretacji „Dziadów” Janowi Bończy-Szablowskiemu.

**W:** Dużo musiało upłynąć czasu, by najchętniej zapraszały go gość toruńskiego „Kontaktu” zrobić coś u nas na scenie dramatycznej.

**EIMUNTAS NEKROSIUS:** Wyjazdy do Torunia, czyli na Zachód, zawsze były dla mnie niezwykle ważne. Polska to było dla nas okno na świat. Renoma stworzonego przez Krystynę Meissner festiwalu sprawiała, że oglądali nas także widzowie i krytycy z Europy Zachodniej, dla których Litwa była krajem zbyt dalekim, gdzieś za żelazną kurtyną.

**Ale pierwsze spotkanie z Polską nie było dla pana najciekawsze...**

No tak (śmiech). W drugiej połowie lat 80. Pagart zaprosił do Warszawy Wileński Teatr Narodowy, który przyjechał z moim „Wujaszkiem Wanią”. Na widowni była tzw. zorganizowana publiczność, złożona bodajże z wojska. Kiedy usłyszeli język rosyjski, rozpoczęły się gwizdy, więc nie grało nam się najlepiej. Zostaliśmy potraktowani jak Sowietci i było nam przykro, choć w ówczesnej sytuacji politycznej całkowicie rozumiałem to zachowanie. Gdybym był na waszym miejscu, też pewnie tak bym postąpił.

**Pana teatr posługuje się obrazem, symbolami, metaforą, muzyką, czerpie z obrzędowości. Dlatego od dawna marzyłem, by namówić pana na realizację „Dziadów”, zwłaszcza część II.**

Ja właściwie zawsze myślałem o „Dziadach” jako całości. Wiem, że niełatwo je ogarnąć, ale zależało mi, by poruszyć w spektaklu tematy ze wszystkich części. Taką

miałem chęć, a czy to się udało, publiczność oceni. To zawsze będzie jakiś wybór.

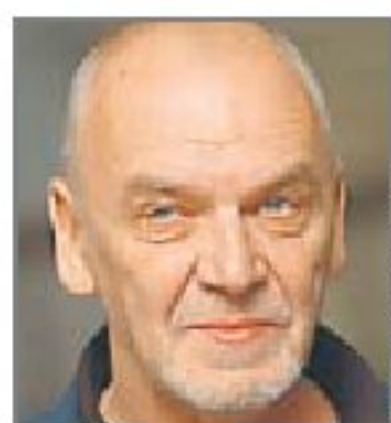
**Unika pan w teatrze polityki.**

Unikam tematów doraźnych. Od tego jest codzienna prasa. Nie interesuje mnie odnoszenie się w teatrze do współczesnej rzeczywistości. Takie dosłowne odniesienie. Staram się mówić

**SYLWETKA**

**Eimuntas Nekrosius**  
Reżyser

Urodził się w 1952 r. na Żmudzi. Jeden z najwybitniejszych twórców współczesnego teatru na świecie. W 1997 roku wystawił „Hamleta” – pierwsze przedstawienie we współczesnym teatrze reżysera teatro Meno Fortas w Wilnie. W 1999 roku wyreżyserował „Makbeta”, w 2000 r. – „Otelę”. W późniejszych latach „Makbeta” Verdiego i „Walkirię” Wagnera. ©



o rzeczach uniwersalnych, o które człowiek pyta od wieków.

**Teatr zna na nie odpowiedź?**

Nikt nie zna, ale warto zadawać pytania. Gdybyśmy znali odpowiedzi, pewnie nie robilibyśmy teatru.

**Kiedy przyglądałem się próbom „Dziadów”, miałem wrażenie, że ciekawie korespondują one z pańską wizją „Boskiej komedii”, że Gustaw jest takim Dantem, który przeprowadza ludzi przez piekło i raj.**

Adam Mickiewicz był człowiekiem czytany. Znał literaturę europejską, antyk,

ceniał twórczość Szekspira, z pewnością znał „Eneidę” Wergiliusza, „Boską Komedie” Dantego. Myślę, że to budowało jego wyobraźnię literacką. I to wyznaczało też kierunek moich poszukiwań teatralnych. To myślenie było mi bliskie.

**Pana spektakle są bardzo malarskie, mam wrażenie, że lubi pan sobie szkicować nie tylko postacie, ale i sytuacje.**

To taki mój środek pracy, bardzo osobiste znaki, którymi się posługuję. Często tylko dla mnie rozpoznawalne, dla innych być może bardzo abstrakcyjne. Coś sobie zaznaczam, coś szkicuję. Potem na tej podstawie mogę odtworzyć konkretną sytuację, a z tych części – obraz całego spektaklu.

**Który od lat tworzy prawie ten sam zespół współpracowników.**

Pracuję już tyle lat z Mariusem (scenograf i syn) i Nadzieją Gultajewą (autorka kostiumów i żona reżysera), że mam wrażenie, że myślimy i czujemy podobnie. Bardzo cieszę się też, że moja współpraca z Pawłem Szymańskim przy jego operze „Qudsja Zaher” okazała się tak interesująca, że zaowocowała współpracą przy „Dziadach”. To wielka radość pracować z takim artystą.

**Ta muzyka rzeczywiście budowała spektakl. Ale wróćmy do scenografii „Dziadów”. Przypomina ona dobitnie, że żyjemy wciąż na cmentarzysku historii, ciągle potykamy się o groby przodków. Chciał pan podkreślić, że polskiego romantyzmu nie można zrozumieć bez znajomości skomplikowanych dziejów.**



Scena z „Dziadów”, na pierwszym planie Grzegorz Małecki (Gustaw-Konrad). Premiera 10 marca

Myślę, że Polacy mogą się szczycić, że są tak dumnym narodem. Narodem, który szanuje swoją przeszłość i nie przechodzi obok niej z zamkniętymi oczami. Niektórzy uważają, że w dzisiejszych czasach to bywa źle widziane i niemodne jest wspomnianie swojej ojczyzny, że to takie stare, znoszone prawdy. Ale w świecie, w którym żyjemy, warto wracać do korzeni i na nich budować tożsamość. Według mnie nie ma niczego pewniejszego, z czego można by wywodzić przyszłość.

**Zaskoczył pan podejściem do słowa „improwizacja”, przywracając mu pierwotne znaczenie jako wariacja na konkretny temat.**

Wróciłem do czasów Mickiewicza, kiedy to różni literaci spotykali się i improwizowali na zadany temat. I wyobrażałem sobie, że w taki właśnie sposób mogłaby być podana Wielka Improwizacja. Tak ją sobie

wyobrażałem i to jest moja propozycja. Można z tym dyskutować, ale dla mnie taki kierunek poszukiwań jest ciekawszy, bardziej zrozumiały. Oczywiście musi być jakaś struktura improwizacji. I ją tę strukturę spróbowałem zmaterializować.

**Co stanowiło największą trudność w pracy z polskimi aktorami dla artysty, który posługuje się plastycznym skrótem, symbolem?**

Najtrudniejsza była dla mnie świadomość, że w ogóle nie znam tych aktorów. Musiało więc nastąpić wzajemne osvajanie się ze sobą. Nie było to łatwe dla żadnej ze stron. W miarę spotkań przekonałem się jednak, że pracuję z grupą niezwykle utalentowanych, otwartych i pracowitych artystów, że renowa szkół teatralnej w Polsce nie jest przesadzona.

**Czy jest jakaś specyfika polskich aktorów?**

Po swoich doświadczeniach z zespołem warszawskiego Teatru Narodowego mogę stwierdzić, że doskonale potrafią pracować z tekstem. Mają do niego bardzo duży szacunek i wielką radość sprawiło mi słuchanie tekstu w ich wykonaniu.

**Skoro mówimy o słuchaniu, to chyba po raz pierwszy w dziejach inscenizacji „Dziadów” do improwizacji Konrada włącza się głos z nieba. Podobno aktorzy uznali, że pański bas-baryton byłby jak znalazł.**

To przesada, bym jako reżyser obsadził się w roli Boga lub szatana. A poza tym, skąd pewność, że oni mówią barytonem.

**Aktorzy dobrze wspominali pracę z panem i liczą na kolejny jej etap. Może tym razem Szekspir, z którego realizacji jest pan znany na całym świecie. W razie czego służę pośrednictwem, jak w przypadku „Dziadów”.**

A daj Boże! ©

## Litewski reżyser lustruje polski kult „Dziadów”

**TEATR**  
**Eimuntas Nekrosius próbuje wyzwolić Polaków ze schematu narodowego, jaki narzucają „Dziady”.**

To znakomity pomysł, żeby o tym, co działo się na „Litwie, ojczyźnie naszej”, w Wilnie i w życiu Mickiewicza oraz jaki ma to wpływ na Polaków – opowiedział na scenie Teatru Narodowego Litwin.

Nekrosius od początku udowodnił, że „Dziady” można odprawiać z lekkością aniołów grających w hula-hoop. Prostuje też polskie wyobrażenia o Litwie, pokazując, że w centrum litewskiego mikrokosmosu są chłopska rzeczowość i ludyczna magia, co zaznacza malowniczo

kanka z mleka. Tymczasem Polacy i z niej potrafią zrobić powstańczą barykadę, zza której ostrzeliwują się nawet... nogą. Dlatego pokpiwa z naszego nabożeństwa do martyrologii, narodowych mistyfikacji oraz braku dystansu do siebie i naszej historii.

Na ciemnej scenie Narodowego jedyne okno na świat ma kształt pomnikowego konturu Mickiewicza. Jesteśmy w więzieniu narodowych stereotypów, w którym Polacy odprawiają rytuały narzucone przez wieszczka, myląc romantyczną kreację z życiem. W poecie o mało heroicznej biografii widzą bohatera „cierpiącego za miliony”.

Pychę Mickiewicza-Konrada od początku ukazuje Grzegorz Małecki, serwując w części II

patetyczne romantyczne gesty i miny. Najlepsza jest część III. Nekrosius pokazał młodych Polaków w kostiumach z lat 70. – tak jakbyśmy wciąż widzieli świat z perspektywy zakładników Układu Warszawskiego. Nie cieszymy się wolnością, nie żyjemy prawdziwym życiem, tylko żalobnym narodowym mitem, który staje się parodią historii. Nie jesteśmy więźniami Rosji, tylko Mickiewicza. Podświetlona twarz poety przypomina przez chwilę Stalina.

Scena więzienna to festiwal polskiej nadekspresji i bohaterstwa. Przyjaciele Mickiewicza-Konrada w drodze do jego celi buńczucznie i na pokaz wymachują pięściami od nieobecnego wroga. Nie zrzuciliśmy narodowych ma-

sek, o czym marzył Wyspiański. Jakikolwiek nieszczęście się zdarzy – najłatwiej jest nam włączyć zgraną już płytę mickiewiczowskiej martyrologii, jedyny soundtrack polskiego bohatera czyni Diabła. To on podszywa się pod Guślarza (Marcin Przybylski), który nakręca rytuał rozpamiętywania przeszłości na cmentarzu – na ziemi zrytej lejami i dziurami, w które wpadają co chwila polscy obrzędnicy. Wracanie do historii nie pozwala nam iść do przodu.

Świetna jest scena, gdy omdlałego Konrada stado diabłów obkłada książkowymi wydawnictwami „Dziadów”. Wizerunek narodowego wieszka mumifikuje artystę, stają się jego trumną za życia. Wystaje z niej tylko dłoń dająca autografy Słowac-

kiemu, Krasieńskiemu, Norwidowi. Bo od zniewolenia ich wyobraźni zaczęło się zniewolenie Polaków. Potem diabeł złośliwie ostemplowuje Mickiewiczowską pieczęcią całą scenę. I nie sposób zedrzyć tego piętna nawet nożem. Tymczasem Salon Warszawski epatuje hipokryzją ludzi dobrze sytuowanych, którzy w lejach po bombach grają w golfa i organizują akcje charytatywne dla Polaków na Litwie, opatrzone hasłem „Na Wilno”.

Niestety, w czteropółgodzinnym spektaklu zwłaszcza pierwszy akt mężczy nadmiarem gier reżyserskiej wyobraźni i pomysłów. Rozsypuje się na wiele manierycznych etud. Całość spaja genialna muzyka Pawła Szymańskiego. ©

–Jacek Cieślak